

Katarzyna Waligóra

Tylko szaleństwo

„Teatr” 2022, nr 11

We wrześniu 1929 roku Virginia Woolf publikuje długi esej zatytułowany *Własny pokój*. Nie wie wówczas, że stanie się on klasyczną pozycją literatury feministycznej (co prawda nie od razu) i będzie czytany przez kolejne pokolenia badaczek, pisarek i artystek. Woolf wykorzystwała w nim dwa wykłady, które wygłosiła rok wcześniej w dwóch damskich college'ach Uniwersytetu Cambridge (Newnham College i Girton College). Przedstawienie wyreżyserowane przez Zofię Gustowską w Łażni Nowej w Krakowie zaczyna się od nawiązania do tych właśnie okoliczności powstania eseju. Na scenie stoi Virginia Woolf (Magdalena Osińska), ubrana w długą sukienkę w kwiaty. „Otóż, kobieta musi mieć pieniądze i własny pokój, jeśli ma uprawiać twórczość literacką” – tym najśłynniejszym chyba cytatem z *Własnego pokoju* zwraca się do widzów.

Tylko, że my – realna publiczność, do której mówi – nie istniejemy w rzeczywistości fabularnej. Woolf Osińskiej ćwiczy swoją przemowę w domu, a jedynym świadkiem tych przygotowań jest jej mąż Leonard (Daniel Malchar), który na scenie pojawia się chwilę później. W przedstawieniu bowiem tytuł eseju (a jednocześnie spektaklu) zostaje potraktowany dosłownie: oglądamy w nim Virginię Woolf w sytuacjach prywatnych, w jej mieszkaniu, w intymnej relacji z mężem. Przestrzeń ogranicza się tylko do kilku rekwizytów: kanapy, fotela, lodówki i dużej figurki realistycznie przedstawiającej siedzącego psa (Woolf opiekowała się w swoim życiu kilkoma psami, choć żaden nie wyglądał jak ten, którego oglądamy na scenie). W lodówce, jak się później okaże, leży kubeczek jogurtu oraz stos kartek papieru. Tylna ściana pozostaje pusta, bo na niej wyświetlana będzie transmisja z kamery, dzięki której widzimy głównie zbliżenia na twarze wykonawców. To przestrzeń surowa i mało przytulna, która bardziej przypomina współczesne kawalerki niż prawdziwy dom Woolfów.

Na scenie Virginia i Leonard rozmawiają, kłócą się i godzą. W ciągu nieco ponad godziny oglądamy różne stadia ich relacji: przywiązanie, poświęcenie, irytację, zmęczenie sobą nawzajem, miłość i nienawiść, żal i czułość. On opowie jej o tym, jak nadzorował egzekucje w czasach, kiedy był żołnierzem stacjonującym w brytyjskich koloniach w Afryce. Ona zwierzy się jemu z wątpliwości, czy przygotowywane przez nią przemówienie zostanie dobrze przyjęte. On jest rozżalony, bo czuje się mały w cieniu jej pisarstwa. Ona, mieszkając na przedmieściach, czuje się uwięziona i pragnie wrócić do Londynu.

W pewnym momencie Virginia niemal niezauważalnie popada w szaleństwo. Informuje nas o tym początkowo przede wszystkim zachowanie Leonarda. Wkrótce jednak staje się jasne, kto w ich relacji sprawuje opiekę, a kto jej wymaga. Szczególnie wyrazista jest jedna scena: mąż wyciąga z lodówki kubeczek jogurtu i próbuje nakarmić nim żonę. Ta jednak odmawia jedzenia, pluje jogurtem na

podłogę, macha głową i rękoma, jej wypowiedzi są coraz bardziej deliryczne. Virginia staje się okrutna dla Leonarda, krzyczy na niego i stara się uderzyć w jego poczucie własnej wartości. Wreszcie on, zmęczony, wychodzi, a ona, pozostawiona sama, jak dziecko buduje z kanapy, stołu i krzesła fort, w którym się chowa.

Wierzę, że za tym przedstawieniem stały dobre intencje. Podejrzewam, że twórczyniami kierowała fascynacja biografią Woolf i chęć pokazania pisarki nie ikonicznej i posągowej, a bliskiej widzowi, skomplikowanej i borykającej się z własnymi problemami. Przyznam jednak, że nie rozumiem, dlaczego pytanie, które stawiają w opisie przedstawienia – „Na ile te odważne postulaty udało się wcielić w życie samej autorce?” – jest potrzebne, zasadne albo chociaż ciekawe. Czy postulat „własnego pokoju” jest mniej ważny, jeśli nie został przez Woolf wcielony w życie? Bardziej istotny? Nie jestem też pewna, jak właściwie twórczyni spektaklu odpowiadają na postawione przez siebie pytanie. Czy Virginia Woolf pisała o potrzebie niezależności, będąc zależną od Leonarda? Czy może przeciwnie: mimo swojej zależności potrafiła znaleźć w małżeństwie przestrzeń dla siebie? Trudno powiedzieć, jak ma się do tego fakt (nieprzytaczany w przedstawieniu), że w 1910 roku, po dwóch latach regularnego pisania i na dwa lata przed ślubem, Virginia Woolf (wówczas Adeline Virginia Stephen) pisała i wydawała drukiem na tyle dużo swoich tekstów, że – jak pisze Gillian Gill, autorka książki *Virginia Woolf and the Women Who Shaped Her World* – stać ją było nie tylko na własny pokój, ale też na domek letniskowy.

Zaryzykowałabym także twierdzenie, że esej *Własny pokój* szczególnie mocno nie nadaje się do biograficznej interpretacji. W tekście Woolf przyznaje, że mało wie o codziennym życiu kobiet w poprzednich epokach, bo sposób, w jaki opowiadamy sobie historię świata, nie pozostawia na to miejsca. Nawet wybitne kobiety są marginalizowane, cóż dopiero te mniej znaczące. Woolf pisze o Jane Austen jako o przykładzie znakomitej pisarki pozbawionej własnego pokoju i zmuszonej pracować we wspólnej przestrzeni salonu. Pisze jednak również o Judith Shakespeare, rzekomej siostrze Williama, obdarzonej nie mniejszym talentem, którego nie mogła zrealizować w patriarchalnym świecie (ten fragment zostaje zacytowany na scenie i przekształcony w historyjkę, którą Virginia opowiada Leonardowi). Jak widać, w eseju fikcja miesza się z rzeczywistością. Jego narratorka potraktowana zostaje według tej samej zasady: „Nazywać mnie możecie Mary Beton, Mary Seton, Mary Carmichael, czy jak Wam się tylko spodoba – to bez znaczenia” – informuje.

Oczywiście Woolf pisze o sprawach, które są jej bliskie i o tym, co dobrze rozumie. Długo opowiada o tym, co spotkało narratorkę na fikcyjnym uniwersytecie Oxbridge (połączenie nazw dwóch największych angielskich uczelni: Oxfordu i Cambridge). Woolf nigdy nie uzyskała formalnej edukacji i uważała, że podjęta przez jej matkę decyzja o zaniechaniu kształcenia córek wynikała z funkcjonowania niekorzystnego dla kobiet systemu. We *Własnym pokoju* Woolf pyta nie tylko o zmarnowany potencjał Judith Shakespeare, ale także o własne ograniczenia. Celowo jednak ucieka od

jednoznacznego związania swojego pisarstwa ze swoim życiem i swoją prywatnością. Pisarka prowadzi wyrafinowaną grę między prawdą a fikcją, między biografią a zmyśleniem – przedstawienie Gustowskiej upraszcza te komplikacje, tworząc historię jednoznacznie biograficzną.

W eseju *Własny pokój* Woolf skupiała się na strukturalnych i instytucjonalnych ograniczeniach, które napotykały kobiety na swojej drodze. Pokazała między innymi, że sposób, w jaki rozumie się literaturę, jest rodzajem społecznej gry, której zasady zapewniają zwycięstwo niemal wyłącznie mężczyznom. W przedstawieniu Woolf zostaje tymczasem zredukowana do relacji ze swoim mężem. Choć wspomniano jej romanse z kobietami, na scenie widzimy tylko Leonarda. A spektakl prowadzony jest tak, że chcąc nie chcąc współczujemy mężczyźnie trudów życia z żoną wariatką. Leonard jest cierpliwy, mądry, dobry, może nieco kontrolujący, ale nie sposób wątpić w jego dobre intencje. Nie sposób też zaprzeczyć, że kocha swoją żonę – jeśli czyjeś uczucia stoją pod znakiem zapytania, to tylko jej. Virginia zostaje pokazana przede wszystkim jako kobieta szalona.

Oczywiście kłamstwem byłoby twierdzenie, że Woolf przeżyła całe życie w dobrym zdrowiu, zaś romantyzowanie jej choroby byłoby równie nie na miejscu. Problem jednak w tym, że we *Własnym pokoju* Gustowskiej choroba pokazana zostaje tak, że dominuje całą opowieść. Szaleństwo jest sceniczne, dodaje dramatyzmu i pikanterii. Sprawia, że postać wydaje się bardziej złożona. I niestety twórczyni ulegają pokusie tej widowiskowości, odbiorcy wyznaczając rolę perwersyjnego podglądacza mieszczańskiego dramatu rozgrywającego się w małżeństwie. Ze spektaklu nie dowiadujemy się, że Woolf czytała książkę za książką, że ceniła szczególnie literaturę pisaną przez inne kobiety, choć dowody tego przywiązania raz za razem pojawiają się w eseju *Własny pokój*. Nie poznajemy pisarki erudycyjnej, czarującej, inteligentnej. Nie ma ani słowa o tym, że była organizatorką życia towarzyskiego, że przyjaźniła się z intelektualistami i artystami, że nie pozwalała, żeby jej choroba definiowała to, kim jest. Zamiast tego na scenie oglądamy kobietę demolującą pokój, biegającą w kółko i plującą jogurtem. W kilku momentach Virginia zwraca się do Leonarda długimi cytatami zaczerpniętymi z *Własnego pokoju* – zdania te, wyjściowo przeznaczone dla szerokiej publiczności, w przedstawieniu stają się intymną wymianą między dwojgiem ludzi. Tekst, który inspiruje i pobudza do dyskusji kolejne pokolenia feministek, na scenie brzmi słabo, jak deliryczne rojenia kogoś, kto potrzebuje natychmiastowej opieki. Nie sposób nie zadać pytania: czy po latach w Virginii Woolf – queerowej artystce, odważnej pisarce, pionierce nowego stylu w literaturze, feministce i animatorce życia towarzyskiego – naprawdę najbardziej interesuje nas jej choroba?